

Alarm (Alarm alone)

Jonathan Carroll

I łyli dżugo i szczêeliwie. Do cholery , przecieć tak w³acenie mia³o byæ ! Spotkali siê , rozmawiali ze sob¹ , pokochali siê , on poprosi³ , ęeby wysz³a za niego za m¹ę, a ona zgodzi³a siê ...dok³adnie tak , jak to siê mia³o zdarzyæ.

Ale choæ mamy nadzieję, ęe istnieje jakieœ regu³y, w rze-czywistoœci wcale ich nie ma. Gorzej, bo staramy siê po-stêpowaç zgodnie z tym. co nie istnieje i kończymy jak on: siedz¹c w pustym mieszkaniu, zastanawiaj¹c nie, gdzie ona może byæ, co robi w tej w³acenie chwili, pewni, ęe jest to wspania³e i seksy, po prostu nieporównywalne z czymkolwiek, co robi³a wspólnie z nim.

Widzia³ tego drugiego mêczyznê- O to w³acenie chodzi, W publicznym miejscu trzyma³a za rêkê faceta z brod¹ a la van Dyck i w dodatku wytatuowanego! Wygl¹da³ na rowerzystê albo kierowcê ciêćarówki, z tych, co nosz¹ czapki z otworkami dla wentylacji.

A przecieć zawsze nienawidzi³a tatuaży! Przynajmniej tak mówi³a. Pamiêta³ nawet, jak siê wyrazi³a: „Tatuaż jest jak tr¹d”. No a teraz sz³a za rêkê z panem trêdowa-tym, podczas gdy jej m¹ę siedzia³ w pustym pokoju ga-pi¹c siê w pod³ogê.

Na dodatek têsni³ za wszystkim, co siê z ni¹ wi¹za³o, nawet za tymi rzeczami, których szczerze nienawidzi³. Jej dżugimi czarnymi w³osami przyczepionymi do bia³ej emalii umywalki na ksztat dziwnie wykaligrafowanych wzorów. Porozrzucanymi nieporz¹dnie kosmetykami zajmuj¹cymi trzy czwarte szafki. Uporem. I tym s³o-dziutkim g³osem, kiedy przemawia³a do kota, Kaudej z tych rzeczy.

Próbowa³ wszystkiego, ęeby o niej zapomnieæ: Bali, drogiej wódki, randek z agencji towarzyskiej, historii Hioba. Problem jednak w tym, ęe nie chcia³ o niej zapo-mnieæ- Nie chcia³ przestaæ myœleæ o jej ucemiechu, o jej dżugich palcach, o tym, jak pogwizdywa³a krz¹taj¹c siê w kuchni. Jeszcze z ni¹ nie skończy³.

A dzisiaj by³a ich rocznica. Cztery lata ma³ęñskiego szczêecia. Zabra³by j¹ na kolacjê i prawi³ komplementy. Kupi³by jej prezent - cos ekstrawaganckiego jak na ich mo¿liwoœci, bo ostatecznie mi³oœæ jest wa¿niejsza ni¿ stan konta bankowego. Mo¿e nawet wzi¹³by j¹ w jak¹œ podró¿. Po³oży³by dwa bilety na ich ma³ym stole i powie-dzia³: „Jutro bêdziemy w Londynie”.

Kiedy tak siedzia³ i myœla³ o tym, wydawa³o mu siê, ęe mieszkanie rocznie i rocznie wokó³ niego i wreszcie czu³ siê jak poœrodku wielkiej stacji kolejowej. W drodze do-nik¹d!

Westchn¹³, podniós³ siê i postanowi³ pójøæ siê napiæ. Usi¹dzie sobie w barze i poogl¹da mecz w telewizji. Co-kolwiek, by³e tylko oderwaæ myœli od niej. Mo¿e jego umys³ pracuj¹cy na pe³nych obrotach ustali, co do chole-ry ma zrobiæ z reszt¹ ęycia.

Na dworze by³o bardzo zimno i samochód nie chcia³ zapaliæ. Trrr... trrr... trrr... gas³ raz po razie. Uchwyci³ mocno kierownicê poprzez wspania³e skórzane rêka-wiczki, które podarowa³a mu na ostatnie urodziny. „No dalej, skurczybyku, nie ró³ mi tego! Nic dzisiaj”, Tirr... trrr... znowu nic.

Zawsze kiedy silnik nie chcia³ zapaliæ, mówi³a: „Mo-ęe go zala³eœ”. Bo tylko to wiedzia³a na temat samo-chodów. ęe jeœli zbytnio pompujesz peda³em gazu. za-lewasz motor. Wiêc za ka¿dym razem gdy by³ jakieœ k³opot, wed³ug niej musia³o to byæ zalanie. Stroi³ so-bie ęarty z tej jej wiedzy samochodowej, a ę wreszcie szczypa³a go w ramiê, ęeby przesta³. Raz zaciê³o siê okno. Bardzo powa¿nie zapyta³ j¹, czy nie myœli, ze siê zala³o...

Opar³ g³owê na kierownicy. Czu³ siê tak. jakby przy³oży³ do czo³a nie kawa³ek plastyku, ale lodu. Bez cienia nadziei przekrêci³ jeszcze raz kluczyk i wtedy nagle sil-nik zaskoczy³. Dziêki Bogu!

W chwili gdy wyjeçd¼a³ z parkingu, zobaczy³ niesym-patycznego s¹siada, nazywa³a go: Niedobry pan Musz-tarda”.

Czy naprawdê ona bêdzie mu tak towarzyszyæ przez ca³y wieczór? „Mo¿e jest zalany”, przezwiska, jakie nadawa³a ludziom, jej g³os, kiedy przejeçd¼a³ ko³o miejsc, gdzie zwykle robi³a zakupy. Czy to wszystko bê-dzie go torturowaç?

Nie. Bar, który wybra³, by³ bardzo przytulny. Przez kilka nastêpnych godzin czu³ siê tak, jakby

wyl¹dowa³ z powrotem na Ziemi. Przysiad³a siê do niego duŹa blon-dyna imieniem Cora. Jej ch³opak dba³, Źeby nie zabrak³o im picia. Zaœmiewali siê nawil¹zuj¹c noc¹ przyja¹Źni. Tak w³acenie powinno byæ. Mili dla siebie ludzie, opowia-daj¹cy historyjki i dowcipy tak œmieszne, Źe chichoczesz a¹ do bólu brzucha. Cory nie tkn¹³by za nic w œwiecie, ale by³ jej wdziêczny, bo trzy razy powtórzy³a, Źe jest w jej typie.

Kiedy przycisnê³o go, by pójœæ do toalety i w³acenie mia³ siê podnieœæ, us³ysza³ za sob¹ g³os: „Czeœæ, Cora”. Coœ szelmowskiego w tonie, jakaœ sugestia intymnoœci podpowiedzia³y mu, Źe ten ktoœ musia³ spêdzaæ z Cór¹ pewien czas w ³ó¹ku. Odwróci³ siê i ku swemu przera¹œ-niu ujrza³ pana Tatuowanego van Dycka.

- Czeœæ! Gdzie siê podziewa³œœ? Co Źeœ ostatnio nabroi³? - powita³a go najwyra¹Źniej zachwycona Cora.

Nawet kiedy ju¹ zostali sobie przedstawieni. Z³odziej Źon nie patrzy³ na niego, tylko w dekolt Cory.

- Czeœæ, jak leci?

W jego g³osie s³ychaæ by³o kompletny brak zaintereso-wania tym, jak leci drugiemu mê¹czyŹnie.

W porz¹dku, to by³ w³aceciwy moment! Odpowiednia chwila, Źeby stan¹æ przeciwko tej œwini, przeciwko w³a-snej s³abej naturze, przeciwko wszystkiemu, czym kie-dykolwiek by³ i czego nie zrobi³. Wstañ. Z³ap chujka za koszulê, wyci¹gnij go na œrodek sali, przy³ó¹ mu. Zrób coœ!

Akurat. Nie by³o w nim nic z D¹ÿngis-chana, ani jed-nego chromosomu. Ani D¹ÿngisa, ani Johna Wayne'a, ani jaj, ani *grandezzy*, ani niczego. Niczego dobrego. Z³e-go zreszt¹ te¹ nie - sama bezbarwnoœæ i bezu¹ytecznoœæ. Mo¹na to kupowaæ na tony i nawoziaæ tym pole. By³ tylko sob¹, potrafi¹cym jedynie wstrzymywaæ oddech i z za-czerwienionymi policzkami zaciskaæ piêœci, siedz¹c obok mê¹czyzny, który ukrad³ mu Źonê.

Nawet gdyby wyszed³ od razu i tak przebywa³by tam za d³ugo. Ca³y alkohol, który wla³ w siebie tej nocy, gdzieœ wyparowa³ i jego b³ogos³awione efekty zniknê³y, zanim jeszcze wyszed³ z budynku. Wsi¹dzie do samocho-du i pojedzie. To w³acenie zamierza³ zrobiaæ. Jechaæ przed siebie, by zabiaæ ból i upokorzenie, mijaj¹c drogowskazy i stacje benzynowe, jad¹c donik¹d. Tego w³acenie potrze-bowa³ w tak¹ noc.

Mia³ swoj¹ wiel¹ szansê, ale wszystko, co potrafi³, to zaperzyæ siê. Wiêc teraz pojedzie. A jeceli bêdzie chcia³ jechaæ przez ca³¹ noc, sam w samochodzie, który nic chce zapaliaæ i przypomina mu o Źonie, niech tam. Bê-dzie jecha³ ca³¹ noc i zobaczy przez szybê samochodow¹, jak wstaje œwit. A nowy dzieñ zawsze przynosi now¹ nadziejê.

Chocia¹ zrobi³o siê Ju¹ w p³ do drugiej, parking przed barem by³ pe³en. Zazdroœci³ wszystkim tym szczêœliwym pijakom, siedz¹cym jeszcze w œrodku- Z gorycz¹ stwier-dzi³. Źe zazdroœci w³aceciwiœ ka¹demu, kto nie jest nim.

Zanim zd¹ÿy³ zanurzyæ siê w pe³niê smutku wywo³a-nego t¹ myœl¹, us³ysza³, jak z ty³u ktoœ do niego podcho-dzi. Zacz¹³ siê odwracaæ i wtedy poczu³ uderzenie w ty³ g³owy. Upad³.

Nie mia³ Źadnych snów. Przeszed³ prosto od rejestracji ostrego bólu do pe³nej œwiadomoœci- „Gdzie u diab³a ja jestem?” Ale nie móg³ wymówiaæ tych stów, bo usta mia³ zakneblowane, a rêce zwi¹zane z ty³u. Panowa³a kompletna ciemnoœæ, ale wiedzia³, Źe jest w czymœ, co siê porusza. To by³ ha³as, jaki robi samo-chód. By³ w samochodzie. Po kilku sekundach uœwiado-mi³ sobie, ze le¹zy w baga¹niku. Po tym, jak ktoœ go ude-rzy³, zosta³ zwi¹zany i wpakowany do baga¹nika!

Ogarnê³a po panika. Zacz¹³ siê szarpaæ i usi³owa³ krzyczaæ mimo taœmy, która zakleja³a mu usta. Nigdy w ca³ym swoim Źyciu nie czu³ siê równie Źywy. Nic nie licz³o siê nigdy tak bardzo jak to, by siê teraz uwolniaæ od taœmy, wiêzów i baga¹nika. Jeceli nie wydostanie siê w tej chwili, oszaleje. I wreszcie coœ robi³, nie le¹a³ jak owca wieziona na rze¹. Kopa³ i krzycza³, ile si³.

Nic siê nie sta³o. Rzuca³ siê, a samochód jecha³ dalej i choæby nie wiem czego próbowa³, nic nie mog³o tego zmieniaæ. Szczêœliwie pierwsza fala paniki przesz³a, przy-najmniej na jakieœ czas.

Zastanawia³ siê, kto u licha, chcia³by go porywaæ. Nie mia³ niczego, nic nie wiedzia³, nie dysponowa³ Źadna w³adza. Jakie¹ Czerwone Brygady, Ariañskie Braterstwo, Lœni¹ca Droga i wszyscy mordercy wie-dzieli. Źe w ogóle istnieje? Czy powinien siê poczuæ pochlebiony?

Mo¹e to jacyœ rozwœcieczeni Arabowie, którym wystar-czy³by jakikolwiek Amerykanin. Albo sadyœci. Zabior¹ go do lasu wraz z walizka pe³na— no, rzeczy, a kiedy je-go cia³o zostanie odnalezione, nawet ci, którzy na niego trafia, odwróc¹ siê chorzy z obrzydzenia. Znowu zacz¹³ siê

szarpaæ.

Na dobre lub z³e, w chwilê po tym, jak dopad³a go dru-ga fala strachu, samochód gwa³townie siê zatrzyma³. Trzasnê³o dwoje drzwi. Nikt siê nie odezwa³, za to us³y-sza³ kroki. Gdzieœ bardzo blisko w zamku obróci³ siê klu-czyk i kłapa nad nim skoczy³a w górê. Oœlepi³o go œwia-t³o.

- Wsiadaj!

- Nie mo³¿e. jest zwi¹zany.

- No taaa,

Oba g³osy nale³¿a³y do Amerykanów, l by³y znajome.

Po jakiejœ chwili ktoœ go przekrêci³ na kolana, a potem z³apawszy go pod ramiona, wyci¹gn¹³ z samochodu. Po-niewa³¿ œwiecono mu ca³y czas prosto w twarz, nie móg³ zobaczyæ, kto to.

Po³o³¿yli go na ziemi. Czu³ siê jak sparali³owany ocze-kiwaniom, co zaraz nast¹pi. Ktoœ kopn¹³ go w bok. Moc-ne kopniêcie, ale nie mordercze.

- Przestañ.

- Dlaczego? Widzia³œœ, jak on uderzy³?

Znowu te znajome g³osy. Bardziej ni³¿ bólem i stra-chem jego umys³ zajêty by³ szukaniem odpowiedzi na pytanie, sk¹d zna te g³osy.

œwiat³o zgas³o. Zamru³ga³ staraj¹c siê odzyskaæ zdol-noœæ widzenia. Najpierw zobaczy³ dwie. potem trzy pary nóg. Jedne by³y w trampkach, Takich samych, jak te, które nosi³ jako nastolatek, wysokich, w czarno-bia³e pa-ski.

- Zdejmij taemê. Pozwól mu mówiaæ, Teraz ju³ nie ma znaczenia, czy go us³ysz¹.

Ktoœ zacemia³ siê z³œeliwie.

Trampki zbli³y³ siê i czyjaœ d³oñ jednym brutalnym poci¹gniêciem zerwa³a taemê z jego ust.

Mê³czyzna krzykn¹³, ale nie z bólu, tylko dlatego, ¿e tym, który mu zerwa³ taemê, by³ on sam.

W wieku lat siedemnastu. On jako siedemnastolatek, w trampkach, w wymêczonych d³insach, na których matka naszy³a mnóstwo ³at i w krzycz¹cej koszulce polo, któr¹ dosta³ na ostatnie urodziny od swojej dziewczyny.

- Niespodzianka, dupku. Witaj w domu. Siedemnastolatek podniós³ siê i opar³ d³onie na w¹-skich biodrach-

Od tamtego czasu nabra³ sporo wagi. Pamiêta³, jak kiedyœ kupowa³ spodnie nr 32 zarówno w pasie jak i na d³ugoœæ. To by³y czasy.

- Spójrz na mnie - odezwa³ siê g³êbszy g³os i nagle zrozumia³, ¿e i ten nale³y do niego. Zawsze jeste-œmy zdziwieni s³ysz¹c samych siebie z taemey magnetofonowej. W ci¹gu trzydziestu sekund us³ysza³ siebie dwa razy - z przesz³oœci i tera³niej-szoœci.

Przestraszony podniós³ wzrok i zobaczy³ siebie wgapionego w sie-bie. To ja, zrozumia³ natychmiast. I ten szkaradny czerwony sweter. Jego ¿ona upiera³a siê, ¿e œwietnie w nim wygl¹da.

- Czy wiesz, kim jesteœmy?

Mimo ¿e by³ oszo³omiony, pytanie wyda³o mu siê bezdennie g³upie- Ale nic chcia³ siê nara³¿aæ, wiêc tylko skin¹³ g³ow¹. Ten drugi odpowie-dzia³ mu podobnym skinieniem.

- To dobrze, poniewa³¿ ja nie wie-dzia³em. Zabra³o mi sporo czasu, za-nim to zrozumia³em.

- Ja skuma³em od razu - oznaj-mi³ z dum¹ siedemnastolatek-

- Zamknij siê, dobra? Jeœli jesteœ taki sprytny, to jak tutaj trafi³œœ?

Podniós³ wzrok na swoje dwie wczeœniejsze wersje spogl¹daj¹ce na siebie ze wœciek³oœci¹. Ich wzajem-na nienawieæ by³a oczywista.

- A ty, kurwa, na co tak siê ga-pisz? - warkn¹³ siedemnastolatek.

Ale le¹cy na ziemi mê³czyzna wiedzia³, ¿e to blef. Pamiêta³, jak maj¹c siedemnaœcie lat bardzo sta-ra³ siê udawaæ twardziela. Trzyma³ z grup¹ ³obuziaków naje³onych ni-czym kaktusy i niebezpiecznych jak rêczne granaty. Wcale nic odznacza³ siê odwag¹, ale by³ sprytny i potra-fi³ oszukaæ innych, by uwierzyli, ¿e jest jednym z nich, a to wystarczy³o.

Zawsze by³ sprytny, ale teraz sie-dz¹c na ziemi, w tej niewyobra³al-nej sytuacji, uœwiadomi³ sobie coœ po raz pierwszy - jesteœ sprytny i wydaje ci siê, ¿e to wystarczy, ale tak nie jest. Do czego doprowadzi³y go wszystkie te œwietne plany, k³amstwa i udawania, poœród których ¿y³ przez lata? Opuœci³a go ¿ona. praca, któr¹ wykonywa³ okaza³a siê znacznie mniej interesuj¹ca, ni³¿ siê zapowiada³a, miesz-kanie mia³o pozór tymczasowoœci. Pewna kobieta, z któ-r¹ kiedyœ pracowa³,

powiedzia³a: „Spieprz³am ¿ycie do poziomu absolutnej œredniej”. Kiedy pierwszy raz to us³ysza³, uzna³ powiêdzenie za zabawne. Teraz zrozu-mia³, ¿e by³o te¿ prawdziwe. U¿y³ ca³ego swego sprytu, by jego ¿ycie równie¿ sta³o siê œrednie i takie ju¿ mia³o pozostaæ. Na zawsze.

- Alleluja! Nasz ch³opczyk ujrza³ œwiat³o - wykrzyk-n¹³ siedemnastolatek.

A starszy mê¿czyzna pochyli³ siê, by pomóc mu stan¹æ na nogi. G³oœno zaskrzypia³y stawy w kolanach.

- Witaj w klubie. Teraz ju¿ móg³ widzieæ normalnie, a to. co zobaczy³ wokó³ siebie, prze¿e³o go dreszczem-

Bytu ich tak wielu, ubrani w tenisówki i podkoszulki, w garnitury, w bermudy i sanda³y. W³osy obciête na wiele ró¿nych sposobów, twarze od bardzo chudych do wrêcz pucó³owatych.

Ale wszyscy byli nim.

Oniemia³y wpatrywa³ siê w te ró¿ne odmiany samego siebie. To by³o jak ogl¹danie albumu. Oto on w wieku siedmiu, dwunastu, siedemnastu, dziewiêtnastu lat. Z d³ugimi paznokciami z czasu, kiedy powa¿nie myœla³, ¿e bêdzie zawodowo gra³ na gitarze. Ze œwie¿a rana, po tym jak spad³ z roweru, ile wtedy mia³? Jedenacie? Wszyscy oni stali na w¹skiej polnej drodze o drugiej nad ranem, wszystkie jego wersje, spogl¹daj¹ce na niego lub rozmawiaj¹ce cicho miêdzy sob¹. Nie s³ysza³ tego. co mó-wili, ale wiedzia³, ¿e rozmawiaj¹ o nim. Ich twarze wy-ra¿a³y ca³¹ gamê uczuaæ, od rozbawienia po obrzydzenie.

Zbieraj¹c resztê si³ Jaka mu pozosta³a, wyszeptað, ma-j¹c nadzie¿, ¿e ktœc mu odpowie.

- Co to jest? Dlaczego siê tutaj znalaz³em?

- Poniewa¿ jesteœce skoñczony. Twój czas siê wyczerpa³. A teraz siê tego dowiedzia³eœce - siedemnastolatek parsk-n¹³ œmiechem. - Poniewa¿ jesteœce teraz taki sam jak my. Zu¿yty i wyrzucony niby niedopa³ek.

Starszy mê¿czyzna po³o¿y³ opiekuñczo d³oñ na jego ra-mieniu.

- Prawda. Wszyscy jesteœmy jedn¹ osoba, ale ta osoba dorasta albo starzeje siê, czy jak chcesz to nazwaæ. Ka¿-dy z nas by³ jakimœ etapem, a kiedy ten siê skoñczy ... Siedemnastolatek odsun¹³ go na bok i stan¹³ nos w nos ze skonfundowanym mê¿czyzna.

- Ja ci to wyt³umaczê. ¿ycie jest czymœ na kszt¹t paczki papierosów, mo¿na powiedzieæ. To proste. W paczce masz dwadzieœcia sztuk, zgadza siê? Wypalasz jednego, zostaje dziewiêtnacie. Co robisz z niedopa³-kiem? Rzucasz go na ziemie i zapominasz o nim, ponie-wa¿ siê wypali³. Tyle tylko, ¿e my siê nie wypalamy. Ale nikt o tym nie wie póki nie trafia tutaj. Tak jak ty teraz. To wielki sekret ¿ycia.

- My wszyscy... - ch³opak, na którego twarzy malowa³ siê gniew, zatoczy³ rêk¹ wielki ³uk, obejmuj¹c zebranych - tworzymy jedn¹ paczkê. Jedno ¿ycie. Jednego cz³owie-ka. Ale dowiadujemy siê o tym dopiero wtedy, gdy zosta-liœmy zu¿yci i odrzuceni. Kiedy jest ju¿ za póŹno.

- Czy ja nie ¿yjê? To znaczy, czy on nie ¿yje?

- Oczywiœcie, ¿e nie. Nie b¹dŹ takim egoist¹. On po prostu wyci¹gn¹³ z paczki kolejnego papierosa.

Zarówno ch³opak, jak i ca³a reszta, byli zachwyceni tym porównaniem. Gruchnêli œmiechem.

Nie mia³ siê do kogo zwróciæ poza mê¿czyzn¹, który wczeciej ³agodnie dotkn¹³ jego ramienia. Jednak i on tylko smutno pokiwa³ g³ow¹, potwierdzaj¹c, ¿e wersja ch³opca jest prawdziwa.

Spojrza³ na t³um. na siebie samego przez wszystkie minione lata i zrozumia³, ¿e to prawda. Nie by³o innego wyt³umaczenia.

- Co stanie siê ze mn¹, to znaczy, chodzi mi, z nim? Z cienia doszed³ go rozdra¿niony g³os:

- Kto to wie? Od nas oczekuje siê tylko, byœmy sie-dzieli i czekali, a¿ do³czy do nas. Stabilizacja.

Stabilizacja! Wszecmocny Bo¿e, kiedy ostatni raz u¿y³ tego g³upiego s³owa? W latach siedemdziesi¹tych? Byæ ustabilizowanym. Ustabilizowana mi³oœæ.

Na pomoc!

Pierwsza noc reszty jego ¿ycia przesz³a nie najgorzej. Ch³opak w harcerskim mundurku, on, rozpal³ ogieñ, in-ny przyniós³ hot-dogi i bu³ki w pud³ach. Siedemnastola-tek u¿y³ swego no¿a, ¿eby je otworzyæ. Mê¿czyŹni obsie-dli ogieñ i jedz¹c rozmawiali. Niektórzy drzemali, g³ów-nie ci m³odzi. Któryœ próbowa³ zaintonowaæ jak¹œ star¹ pieeñ, ale inny kaza³ mu siê zamkn¹æ ,twierdz¹c, ¿e nie wszyscy j¹ znaj¹ Swietn¹ stron¹ tej nocy by³o, ¿e przy-pomina³a najwspanialsze klasowe spotkanie po latach. Mê¿czyŹni znali jego ¿ycie w najdrobniejszych szczegó-³ach, wiêc przez kilka godzin zadawa³ im niezliczone py-tania, poniewa¿ sam zapomni³ tak wiele. Przypomina³o to odnajdywanie skarbów, które straci³ po drodze.

Umieli odpowiedzieć na każde z jego pytań. Po jakimś czasie spędzonym razem miał w zebranych towarzystwie swoich faworytów. Ale to było oczywiste. Kto lubi samego siebie przez cały czas? Zawsze bał się ośmierci, ale jeżeli tak miał wyglądać koniec, nie było to takie złe. Zaprowiantowanie zagwarantowane, a wspominki w męskim towarzystwie...

Nie! To było okropne, przerażające! Jak czekanie na Godota, tyle tylko, że nie było żadnego Godota ani boga, na którego można by czekać, jedynie inne wersje jego samego, a jak dawka własnej osoby daje się wytrzymać.

I wtedy wyskoczyli z ostatni niespodzianki. Kiedy pierwsze promienie słońca przebiły się przez gęsty las, powiedzieli mu, żeby wsiadł do samochodu. Był tak wykończony, wypłuty, że zrobiłby wszystko, co by mu kazali.

Do miasta wzięli go nie ci sami, którzy go stamtąd przywieźli. Siedemnastolatek już kilka godzin wcześniej zniknął w lesie, a starszy mężczyzna siedział z uśmiechniętym dzieckiem na kolanach.

W milczeniu jechali w stronę znajomego miasta. Siedzący obok kierowcy patrzył tępo na to, co do ostatniej nocy było jego światem. Minęli budynek, w którym mieszkał, a potem miejsce pracy, to gdzie grał w kręgle, kościół, w którym brał ślub.

Nie odezwał się aż do chwili gdy zatrzymali się przed domem, w którym jego żona mieszkała z wytatuowanym van Dykiem.

- Nie, naprawdę, ja nie chcę...

- Ciii. Po prostu patrz - powiedział jeden z nich. Kilka minut później pod dom podjechała białka toyota metallic i wysiadł z niej van Dyck. Najwyraźniej był pijany, a uśmiech na jego twarzy jasno dawał do zrozumienia, jakim okazał się niegrzecznym chłopcem tej nocy. Czy spędził ją ze spotkanym w barze Cór? Jaka to zresztą różnica?

Mimo wszystkich rewelacji ostatniej nocy mężczyzna siedzący obok kierowcy rzucił się w przód krzycząc:

- Ty pieprzony skurwysynu.

I wtedy stało się coś dziwnego: van Dyck zatrzymał się i położył dłoń na karku. A potem powoli odwrócił się w ich stronę.

Kiedy mężczyzna zobaczył twarz van Dycka, chwycił ciężko powietrze. Ponieważ to też był on, byli tym samym osobami. Różniła ich jedynie broda, tatuaż i aura. Gdzieś po drodze zmienił się, stał się człowiekiem poza prawem czy jakimś dupkiem, a może kimś pośrednim. Jak to się stało? Mężczyzna w samochodzie nie potrafił tego zrozumieć. Ale dowód znajdował się o trzydzieści kroków od niego, trzymając się dźwoni za kark, z wyrazem niedowierzania w pijanych oczach.

Mężczyzna w samochodzie zrozumiał nagle, że żona wcale nie opuściła go. Po prostu kochała go nadal w tej złej wersji. Czy ona zwariowała? Wszystko w tym facecie krzyczało o kiepskim standardzie, kowbojskich hutach, tanim piwie i braku kontroli. Co gorsza, prawdopodobnie wściekanie spędziło noc zdradzając jedynie kobietę, którą kiedykolwiek kochał. Jak często się to zdarzało? Jak mógł jej to robić?

Mężczyzna siedzący w samochodzie zacisnął pięści i niewiele myśląc, zaczął wysiadać z samochodu. Kierowca zapał go i przytrzymał.

- Nie możesz tego robić. To jest zakazane. Przywieźlicemy cię tutaj, bo zobaczył, że ona wcale cię nie zostawiła.

- Ale dlaczego nie wiedziałem tego wcześniej, w barze? Dlaczego wtedy go nie rozpoznałem?

- Nie możesz, póki nie znajdziesz się wśród nas i nie dowiesz się o wszystkim.

Czuł gniew, miał zamknięte serce, ale też był dziwnie uspokojony. To była prawda, ona wcale go nie zostawiła.

Patrzył na tego szczęśliwego kundla po drugiej stronie ulicy nienawidząc go bardziej niż kogokolwiek kiedykolwiek na świecie. Nienawidził go, nawet jeżeli to był on sam.

A potem nagle coś zrozumiał i jego twarz rozpuodziła się. Zwrócił się do kierowcy:

- Wcześniej czy później on także się złoży. co? - pokazał na van Dycka, który wściekanie się odwrócił i szedł w stronę domu.

Uśmiech kierowcy był pełen zrozumienia, pojawił się na niej taki sprytny uśmiech, który towarzyszył mu przez całe życie.

- Zgadza się i jeżeli będziesz chciał, to ty przyjedziesz po skurwiela, kiedy nadejdzie jego czas.

- Już wkrótce ! - krzyknij ten z tylnego siedzenia, unosząc zacięniętą pięć w znajomym salucie „Czarnych Panter”. Siedzący z przodu mężczyźni zawstydzeni umknęli spojrzeniem.

Przełożyła **Dorota Malinowska**

Skanowała : *Infinite*

[CarpeNoctem](#)